



Tadeusz Chrzanowski

Wspomnienie o Edwardzie Chrzanowskim i jego bibliotece



Kiedy rozpocząłem jako tako świadomą egzystencję, to w przestronnym domu w Moroczynie kilka miejsc miało dla mnie szczególne znaczenie. Pierwsze zajmował strych, bo tam po różnych zakamarkach kryły się rozmaite skarby, skrzynie ze starymi czasopismami i książkami, inne z jakimś dziwnymi ubiorami, a także rozmaite dziwne pamiątki, mnie zaś, gdy już nieco podrosłem, szczególną radość sprawiło odkrycie autentycznego urzyna, broni ulubionej przez kłusowników, oraz bębenkowego nagana.

Drugim ulubionym przeze mnie miejscem była biblioteka, nie tylko dlatego, że stały tam szafy z książkami, a niektóre z nich miały w swych wnętrzach obrazki, ale także dlatego, że w narożniku

był kominek i zimą paliło się w nim, zaś na nielicznych - wolnych od regałów - ścianach wisały jakieś dziwne panoplia, z których pamiętam pancierz i hełm husarski, fragmenty (być może falsyfikaty) jakiejś zbroi orientalnej oraz dwie króciice.

Biblioteka miała też funkcję rodzinno - gościnną. Położona pomiędzy jadalnią, znajdującą się w trakcie frontowym i salonem, usytuowanym podobnie jak biblioteka w trakcie ogrodowym, była miejscem spotkań rodzinnych po posiłkach, albo - jeszcze częściej - w porze podwieczorków. Pamiętam, że w ostatnich latach przed wojną odbywały się tu rodzinne sjeisty: „starsi” pili herbatę lub kawę, chrupano „ptifurki”, ojciec kładł pasjanse, a mój starszy brat czytał na głos utwory literackie lub wybrane artykuły z czasopism. Sienkiewicz nadal bił wszelkie rekordy popularności i wszyscy chętnie słuchali fragmentów przede wszystkim *Trylogii*, a przy śmierci Podbiłęty to nawet ojcu łyzy kapąły na rozłożone pasjansowe karty.

Nie chcę jednak przeobrażać swej wypowiedzi w tkliwe wspomnienia ze „szczenięcych lat”. Chciałbym obecnie, w ramach głównego tematu, dać krótką analizę owej biblioteki, wydaje mi się bowiem, że oprócz czynników sentymentalnych można się w moim wspomnieniu doszukać pewnych ogólniejszych prawideł, dotyczących funkcjonowania dworskich księgozbiorów.

Przede wszystkim trzeba powiedzieć, skąd wziął się ów moroczyński księgozbiór. Niestety, nasze papiery rodzinne przepadły w czasie II wojny światowej. Położenie naszego domu, oddalonego o dwa kilometry od Bugu, niedaleko szosy

wiodącej z Włodzimierza Wołyńskiego do Hrubieszowa, Zamościa i Lublina, sprawiło, że w czasie kampanii wrześniowej nie uciekaliśmy przed armią niemiecką, nie było bowiem gdzie już uciekać i zresztą niemal zaraz po pojawieniu się formacji Wehrmachtu przyszła wiadomość o wkroczeniu w granice naszego kraju wojsk sowieckich. Gdy zaś te stanęły nad Bugiem, ojciec kazał błyskawicznie pakować się i uciekać w zupełnie przeciwnym kierunku. Ojciec bowiem przeżył w Rosji rewolucję i wcale nie zamierzał odnawiać tych doświadczeń. W zamieszaniu, które powstało podczas pakowania, zapomniano o archiwum rodzinnym, a kiedy po kilku tygodniach powróciliśmy do domu, kompletnie zresztą przez „wyzwolicieli” obrabowanego, tych dokumentów też już nie zastaliśmy. Paradoksalnie: jedyne, co się po tym pogromie zachowało, to biblioteka, w której tylko zerwano kilka opraw, tych ozdobniejszych i ze złoceniami. Książki były więc na miejscu i nawet zidentyfikowałem pewien nabytek: ktoś z „wyzwolicieli” pozostawił tu egzemplarz *Krótkiej historii WKPB* – oczywiście drukowanej „bukwami”.

Swą wiedzę o bibliotece zawdzięczam więc jedynie bardzo nielicznym wspomnieniom ojca oraz niewielkiej nadbitce artykułu Kazimierza Tyszkowskiego *Biblioteka Chrzanowskich w Morocynie* (IV zeszyt *Silva Rerum*, Kraków 1925).

Urodziłem się, gdy mój dziadek Edward już nie żył, tak więc znam go tylko z opowieści. Edward urodził się w Koble (a może w Teptiukowie?) w 1843 roku. Kształcił się najpierw w gimnazjum w Lublinie, a następnie studiował na wydziale prawa paryskiej Sorbony. Te studia w pewnym sensie ocaliły go od carskich represji. Wziął udział w powstaniu styczniowym, ale władze rosyjskie nie potrafiły tego udowodnić, a dziadek i cała rodzina twierdziła, że gdzie tam, skądże, w żadnej partii nie był, do lasu nie poszedł, przebywał bowiem na zagranicznym uniwersytecie.

Przyszło jednak pożegnać się z ciągotami do pracy naukowej i zająć hreczkosiejstwem. O dziwo, niedoszły naukowiec okazał się gospodarzem wybornym: znacznie pomnożył dobra, które stały się jednymi z największych w ziemi hrubieszowskiej, także przez dziedziczenie po bezdzietnych krewnych, m. in. po braciach i po Suchodolskich z Dorohuska, ale przede wszystkim dzięki umiejętnemu wprowadzaniu nowych technologii, mechanizacji, nowych hodowli. Poza swymi wybitnie humanistycznymi zainteresowaniami dziadek wyznawał mistyczną niemal ideę ziemiańskiej powinności, że odziedziczone majątki trzeba eksploatować możliwie starannie, powiększać i zarazem wprowadzać nowe sposoby gospodarowania. Ponieważ w tym zakątku kraju gleby były zawrotnie bogate, tutejszy czarnoziem rodził wspaniałe plony, ale zacofanie włościan było wielkie, a i nawet szlachta tutejsza była nader anachroniczna w stosunku do reszty Lubelszczyzny. Wybicie się ekonomiczne dziadka wynikało z szerokich perspektyw na współudział Lwowa w rozwoju ekonomicznym regionu, czego znakiem było przeprowadzenie kolei do Włodzimierza i stamtąd do Lwowa. Dziadek pielęgnował tradycje rodzinne, lawirując pomiędzy władzami carskimi a pobliską administracją austriacko – galicyjską. Orientacja prowarszawska była z tego punktu widzenia

przestarzała i nie wnosząca nowych czynników w życie społeczne, co sprawiło, że wykształcenie mojego ojca, Wincentego, opierało się o austriacko – galicyjskie wzorce. Na dziadku długo bowiem spoczywała czarna kłątwa udziału w powstaniu styczniowym, tak że musiał pewien czas trzymać się z dala od polityki bieżącej.

Dziadek ożenił się z zamożną ziemianką z Tomaszowskiego Marią Kicińską i założył z nią wzorową rodzinę, która wkrótce pomnożyła się o potomstwo. Najpierw urodziła się córka Renata, zamężna potem za Rulikowskim, który jednak zmarł szybko wskutek nieszczęśliwego wypadku myśliwskiego. Drugi był mój ojciec Wincenty, jedyny syn Edwarda. Z kolei trzecie dziecko, córka Jadwiga (Dziudzia) wyszła później za mąż za litewskiego księcia Woronieckiego. Ostatnim, czwartym dzieckiem była córka (Minia?), która zmarła w dzieciństwie. Pamiętam dwa pełnopostaciowe portrety wiszące w jadalni, na których moi dziadkowie prezentowali się dostojnie i surowo. Ale ta surowość nie była chyba przesadna, skoro ich dzieci, a więc mój ojciec i ciotki, uprawiały istne nabożeństwo wobec rodziców.

Dziadek miał ponadto instynkt społecznikowski i ten chyba, niestety, to ja po nim dziedzicę, zamiast zdolności pomnażania dóbr materialnych. Brał udział w pracach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, Towarzystwa Rolniczego i Syndykatu Hrubieszowskiego. Wybrany do Dumy, został w niej prezesem Koła Polskiego.

Kolekcjonowanie księgozbioru dziadek rozpoczął w ostatniej tercji XIX wieku, bo chyba przedtem w domu nie było większej biblioteki, ale jednak szanowano słowo drukowane. Świadczy o tym fakt, że w Moroczynie przechowywano komplet słynnego czasopisma francuskiego „Revue de deux Mondes”, które ukazywało się od lat trzydziestych XIX wieku. Dziadek oczywiście podczas swych rozmaitych wyjazdów odwiedzał księgarnie i antykwariaty, ale podstawę zebranego przezeń księgozbioru stanowiły rozmaite zbiory biblioteczne, które kupował, a często dziedziczył, np. z wianem żony wziął sporo książek stanowiących niegdyś własność zapomnianego literata – tłumacza Brunona Kicińskiego.

Nie wiem, czy dziadek odkupił, czy w inny sposób pozyskał zbiór książek należących do Józefa Grothusa. Była to interesująca familia, wywodząca się z Inflant, z tzw. baronów kurlandzkich. Tenże Józef był zaprzyjaźniony ze Stanisławem Staszicem, który mianował go dziedzicznym prezesem fundacji przezeń założonej. Moroczyn w prostej linii oddalony był nie więcej niż trzy kilometry od owej fundacji, której zarząd znajdował się w Dziekanowie. Dalszymi większymi nabytymi zbiorami były biblioteka Milżeckich z Kozic, Lipińskich ze Strzałkowa, a największym – Lucjana S. Morykoniego z Wilna. Milżeccy z ojca na syna parali się prawem i od nich to dziadek nabył zbiór książek, dotyczących przede wszystkim spraw jurystycznych. Wśród książek nabytych od Lipińskich znajdowały się takie, które niegdyś stanowiły własność żołnierza i pisarza doby napoleońskiej: pułkownika Wojciecha Dobieckiego. Pamiętam jeszcze jego ekslibris, który był na niektórych książkach. Rodzina Morykonich z kolei należała do tych

- jakże licznych - włoskich rodów, które dość długo utrzymywały tradycję swego włoskiego pochodzenia, ale w końcu uległy całkowitej polonizacji. Lucjan Morykoni, mineralog, mieszkał w Wilnie i tam zebrał okazałą bibliotekę, przede wszystkim starodruków. Zawierała ona szereg pozycji włoskich, które zapewne przodkowie Lucjana przywieźli ze sobą z Italii, ale Lucjan ów skarbiec rodzinny dopełniał już na miejscu, wykorzystując sposobny moment kasaty wielu klasztorów i zakupując pochodzące z nich księgi. Mój dziadek nabył ten księgozbiór po znacznych staraniach w 1902 roku z rąk syna jego twórcy - Jana Morykoniego.

Oczywiście książki zdobywał dziadek przy rozmaitych okazjach i dziś nie sposób czasem określić ich proveniencji. W moim posiadaniu znajduje się bardzo interesujący rękopis *Irmologionu* z początku XVIII wieku, ozdobiony wykonanymi piórkiem miniaturami, a jego pochodzenie z jednego z monasterów położonych w województwie bełskim można było ustalić tylko hipotetycznie. Mój przyjaciel, prof. Aleksander Naumow, znawca rękopisów starocerkiewnych i zarazem wierny syn Kościoła prawosławnego, gdy dowiedział się ode mnie o owym rękopisie, natychmiast zjawił się u mnie. Podałem mu dzieło, a on zajrzał doń, natychmiast posmutniał i stwierdził z ogromnym rozczarowaniem: „To rękopis unicki!”.

Ale na europejskim niebie zaczęło się chmurzyć i rozległy się coraz bliższe gromy sił armatnich – nadciągała I wojna światowa. Dziadek całość księgozbioru spakował w skrzynie i wywiózł do Kijowa, w którym była spora polska kolonia, a więc istniało jakieś społeczne oparcie. Mój ojciec służył wówczas w armii carskiej, pełniąc funkcję dostawcy koni dla potrzeb wojska, odbywał więc nieustanne wędrowki po państwie „cara – batiuszki”, dopóki nie wybuchła rewolucja, którą obserwował u źródła: w Petersburgu w czasie szturm na Pałac Zimowy. Następnie przedarł się do rodziny w Kijowie i stamtąd wraz z dziadkami podjął trud przewiezienia ewakuowanej biblioteki do Moroczyna.

Ojciec i dziadek zastali gospodarstwo straszliwie zrujnowane, znaczna część zabudowań została spalona przez cofające się wojska rosyjskie, reszta rozgrabiona. Podjęto walkę o restytucję gospodarstwa, z czym wiązały się ogromne koszty, trzeba więc było sprzedać część majątku, a na pierwszy rzut poszedł piękny, ale najbardziej od ośrodka dóbr oddalony majątek Dorohusk, w którym okazały barokowy pałac również został spalony. Radość z odzyskanej niepodległości i z możliwości uruchomienia gospodarki nie trwała jednak długo i w półtora roku od powrotu z Kijowa pojawiła się na horyzoncie groźba bolszewickiego najazdu. Tym razem rodzina wybrała zachodni kierunek ucieczki. Po „cudzie nad Wisłą”, czyli po bitwie pod Radzyminem, nastąpił powrót: dom został doszczętnie ograbiony, nie przetrwały w nim żadne stare meble, niewiele obrazów, ocalała jednak biblioteka, bo choć najeźdźcy użyli jej część do „wybrukowania” alejki z domu na folwark, książki obmyto z błota i osuszono.

Wkrótce po wojnie bolszewickiej zmarł dziadek Edward, a majątek objął mój ojciec Wincenty Chrzanowski (1878 – 1944). Był on również po studiach wyższych w Wiedniu (rolnictwo) i w Paryżu (historia). Obaj – dziadek i ojciec –

reprezentowali narodową paranoję napoleonizmu i frankofonii, wielbili „małego cesarza”, który Polaków niezbyt lubił. W bibliotece więc przeważała literatura francuskojęzyczna i mnóstwo tu było książek o eposie napoleońskiej. Borykając się z odbudową gospodarstwa i stale odczuwając niebezpieczeństwo grożące ze Wschodu, w roku 1925 ojciec postanowił oddać najcenniejsze książki z naszej biblioteki w dziesięcioletni depozyt Zakładowi Narodowemu im. Ossolińskich we Lwowie. Do przejrzania owego depozytu liczącego 5000 tomów został wyznaczony właśnie Kazimierz Tyszkowski. W jego artykule znajdujemy informacje o najcenniejszych pozycjach tego zbioru.

Tyszkowski wylicza, że znalazł w księgozbiorze moroczyńskim 9 inkunabułów, przeważnie druków weneckich, co wskazuje na ich pochodzenie z biblioteki Morykonich. Z XVI wieku pochodziło kilkadziesiąt druków obcych i tyleż polskich. Dla przykładu: Jana Głogowczyka przekład dzieł Jana Versoriusa (1501), *Statut Łaskiego* (1506), *Kronika Miechowity* (1521), *Zoltarz Dawidów* Walentego Wróbla (1540), *Herbarz Marcina Siennika* (1542), a z drugiej połowy stulecia tyle, że jak pisze autor „wymienić ich niepodobna”. Jest i Heidenstein, jest Sokółowski, Sarnicki, Gwagnin, *Kronika Bielskiego*. Wiele ksiąg miało piękne oprawy skórzane, nierzadko z superekslibrisami, a Tyszkowski reprodukuje wspaniałą renesansową roprawę Royziusa *Decizio Lithuanica* (Kraków, oficyna M. Siebeneichera 1563) z wyciskiem portretu Zygmunta Augusta. Książki opatrzone były także ekslibrisami i dedykacjami wielu ludzi, który zapisali się chwalebnie w dziejach kultury krajowej, np. Józefa Andrzeja Załuskiego. Książki bardzo często pochodziły z kasowanych w pierwszej połowie XIX wieku klasztorów, tak więc były wśród nich wolumina pochodzące z cysterskich opactw w Wąchocku i Jędrzejowie, benedyktyńskiego na Świętym Krzyżu, z klasztorów bernardynów w Opatowie, misjonarzy w Krakowie oraz z wielu kolegów jezuickich i pijarskich na Litwie. Trafiało się też, choć wyjątkowo, na druki ariańskie z Rakowa, a na jednej z licznych w tej kolekcji Biblii (bodaj brzeskiej) ktoś odręcznie napisał (jak mi opowiadał ojciec): „Czytelniku strzeż się, bo Lutrem śmierdzi!”.

Było też sporo nowszych, ale niemniej cennych druków, np. zbiór ulotnych odezw i rozkazów z czasów insurekcji kościuszkowskiej, a wreszcie znaczna liczba druków z czasów Królestwa Polskiego. Ponadto była niemała liczba rękopisów, a między innymi tom siedemnasty *Acta Tomiciana* w oprawie skórzanej z pięknym superekslibrisem Stanisława Górskiego.

Po upływie dziesięciu lat ojciec mój nie odebrał depozytu ze Lwowa, a powodów po temu było kilka. Ojciec rozważał sprowadzenie tego księgozbioru z powrotem do Moroczyzna, jednak przekraczało to jego możliwości finansowe. Czasy nadal były niepewne, a ponadto ojciec, choć cechowało go wielkie umiłowanie książek wolał, żeby księgozbiór mógł pełnić funkcję społeczną, a nie petryfikował się w położonym na odległej prowincji dworze.

Nie orientuję się w systemie podziału księgozbioru na część przekazaną do Ossolineum i tę, która pozostała w Moroczyźnie. Można przypuszczać, że do Lwowa trafiły przede wszystkim starodruki, ale i w Moroczyźnie pozostało ich

sporo. Resztę stanowiły książki nowsze, a przede wszystkim takie, które albo nie stanowiły rzadkości w bibliotekach polskich, albo nie przedstawiały większej wartości naukowej czy bibliofilskiej.

Pamiętam doskonale, jak ojciec w latach trzydziestych, gdy uporał się już z rekonstrukcją gospodarczą majątku, podjął wysiłek porządkowania i katalogowania tutejszej biblioteki. Na pierwszy ogień poszła wielka modernizacja szaf. Nie pamiętam, jakie były poprzednio, wydaje mi się, że były to bardzo skromne, ciemne regały. Nasz folwarczny stelmach Franciszek, wyborny mistrz stolarstwa i ciesielstwa, wykonał nowy komplet szaf dębowych i oszklonych, a wydaje mi się, że ich projekt obmyślili wspólnie ojciec i moja starsza, przyrodnia siostra Hania (córka z jego pierwszego małżeństwa). Hanka studiowała w tym czasie na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i to ona była także autorką ekslibrisu, którym ojciec sygnował książki swej biblioteki.

Szafy, jak się rzekło, były masywne, pojemne, składały się z dwóch części: dołem biegły obszerne jakby kredensy czy komody, gdzie umieszczano wydawnictwa nieformatowe, jak czasopisma lub serie zeszytowe, których jeszcze nie oprawiono. Było to bardzo wygodne urządzenie, ponieważ owe pojemniki występowały przed lico szaf właściwych, stanowiąc jakby podest, z którego można było sięgnąć do najwyższych półek. Same szafy wystylizowane były w duchu neogotyku z niby – maswerkowymi listwami w ostrołukowych zwieńczeniach poszczególnych skrzydeł. Z ową neogotyckością wiąże się zabawny przypadek. Kiedy wynosiliśmy się ostatecznie z Moroczyna na jesieni 1943 roku, oprócz większości książek zabrałem także dwie szafy (a raczej trzy segmenty) i przewiozłem najpierw do Bieżanowa pod Krakowem, gdzie znaleźliśmy czasowy azyl w domu mej babci Amelii Czczewowej z węgierskiej rodziny Fricke de Schoevenyhaza. Ale i tam przemieszkaliśmy zaledwie rok z kawalkiem, bo po „wyzwoleniu” reforma rolna wyzwoliła nas z owych resztek włości i przegnała do Krakowa, gdzie jeszcze dwukrotnie odbywały się przenosiny. A potem postanowiłem wstąpić w związek małżeński z Teresą z Lewickich, której rodzice posiadali obszerne starokrakowskie mieszkanie, w którym książek też było niemało.

W tym momencie postanowiłem sprzedać owe szafy, bo nie miałem ich gdzie wstawić, a ponadto odczuwałem wielki brak funduszy na życie. Studiowałem wówczas jeszcze na Uniwersytecie Jagiellońskim, oczywiście historię sztuki, i zwróciłem się do prof. Karola Estreichera juniora z zapytaniem, czy nie byłby zainteresowany tak cennymi meblami. Profesor pojawił się w naszym mieszkaniu, rzucił okiem na szafy i oświadczył autorytatywnie: „Tak, tak – to typowe neogotyckie meble dworskie z okresu po powstaniu styczniowym. Biorę je!” – tu wymienił nie nadmiernie wysoką sumę i transakcja została dokonana, a ja pozostałem z książkami, ale bez szaf.

Jaki był profil księgozbioru, która pozostała w Moroczynie? Po detale odsyłam czytelnika do mego artykułu *Wspomnienie o bibliotece*, z którego zresztą pochodzą obszerne fragmenty obecnego wystąpienia, zamieszczonego w książce *Dwór polski w XIX wieku. Zjawisko historyczne i kulturowe* (Warszawa: SHS,

1998, ss. 57 – 76). Po II wojnie światowej znaczna część biblioteki Zakładu Narodowego im Ossolińskich została przewieziona do Wrocławia, a sporą jej część stanowił depozyt ojca, który, jak mi mówił wieloletni kustosz tej zacnej instytucji Roman Aftanazy, nosił i chyba nadal nosi nazwę „Moroczyn”. I jeżeli ktokolwiek żywi jakieś wątpliwości, czy ojciec mój postąpił słusznie, składając książki w legacie do Lwowa, to z perspektywy historii trzeba uznać, że był to krok opatrnościowy, dzięki któremu przynajmniej część najcenniejszych pozycji nie uległa zniszczeniu i rozproszeniu, a dziś może służyć polskiemu społeczeństwu w bezpiecznych, miejmy nadzieję, zbiorach narodowych. Wierzę też, że może dojdzie kiedyś do - przynajmniej częściowego - scalenia kolekcji „Moroczyn” z jej resztą uratowaną z pożogi dziejów i pozostałą do dziś w zbiorach lwowskich.

Godziłoby się sformułować na koniec jakąś konkluzję. Przykład bowiem Moroczyna był z pewnością w tamtych hrubieszowskich ostępach czymś wyjątkowym, ale w skali całego kraju wcale tak nie było. Każdy szanujący się dom ziemiański, obojętne czy w Wielkopolsce, czy w Małopolsce, czy na kresach, starał się posiadać zasób książek, z których część była niezbędna w prowadzeniu gospodarstwa, przekazując potrzebne w tej dziedzinie wiadomości, inna zaś zastępowała podręczniki, ucząc dziejów kraju i jego literatury, gdy z kolei poważne czasopisma stanowiły bardzo istotny łącznik z szerokim światem. Ale nie miejmy złudzeń: dworskie księgozbiory były przeważnie co najmniej skromne i o nader wąskim horyzoncie tematycznym. Chyba najpopularniejsze były wszelkiego rodzaju „ziemiańskie ekonomie”. Dalszą ulubioną lekturę „Sarmatów” stanowiły kalendarze, gromadzono też druki ulotne, słynniejsze oracje i kazania, panegiryki i pamflety. Literatura religijna - po wielkiej fali zainteresowania w dobie reformacji i kontrreformacji - znacznie osłabła, chociaż trafiały się nadal dzieła niezwykle popularne, jak Floriana Jaroszewicza *Matka Świętych Polska* (Kraków, 1797). Jak to już kilkakrotnie w najnowszych opracowaniach podkreślano, nasz kraj w swej ziemiańskiej strukturze to był kraj „Sylw”, a więc gromadzonych w miarę pojawiania się rozmaitych przepisywanych niejednokrotnie pism, wśród których nie brakło i poezji. Niemniej kartkując *opus* Aftanazego zaskoczeni będziemy znikomym procentem większych bibliotek w pałacach, a cóż dopiero we dworach. W większości przypadków wystarczały salony, przeważnie nazywane wedle kolorów obić ściennych, z galeriami rodzinnych konterfektów i zbiorami obrazów, wśród których czasem trafiał się Rafael lub Rubens, ale w 9 przypadkach na 10 była to lepsza czy gorsza kopia. Dlatego mogę odczuwać coś w rodzaju dumy, że w Moroczynie, który „tubylcy” nazywali wprawdzie pałacem, ale który był tylko dużym dworem, zebrana została tak okazała biblioteka, której dane było w większości przetrwać nawałnice dziejowe.

W roku nie bardzo Pańskim, bo całkowicie jeszcze stalinowskim, dokonaliśmy wraz z Marianem Korneckim i Janem Samkiem objazdu inwentaryzacyjnego po ówczesnym powiecie hrubieszowskim. Ja wtedy do Moroczyna nie wybrałem się, nie chcąc oglądać tej ruiny, a także ze względów bezpieczeństwa – ostatecznie byłem jeszcze niedawno tutejszym paniczem, a dawni właściciele mieli

zakaz pojawiania się w swych dawnych majątkach. Naszą bazą wypadową był „hotel” w Hrubieszowie, jakiś murowany, piętrowy budynek z chlewem i budką wychodkową w ogródkowym zapleczu. W tym lokalnym „Bristolu” czy „Sheratonie” były - zdaje się - trzy lub cztery pokoje, wypełnione niczym więzienne cele, żelaznymi łózkami. Pewnego razu sąsiadem moim okazał się jakiś urzędnik, a w każdym razie inteligent, więc gdy mu powiedziałem, po co tu przyjechaliśmy, pokiwał głową i powiedział: „Niedaleko stąd, w wiosce Moroczyn, jest taki pałac, który należał do Chrzanowskich. Była tam wielka i cenna biblioteka, ale co się z nią stało, tego nie wiem, bo dziś znajduje się tam Powiatowy Ośrodek Maszynowy”.

Tekst wygłoszony 5 września 2003 r. na seminarium poświęconym Edwardowi Chrzanowskiemu, patriocie i wybitnemu bibliofilowi w sto sześćdziesiątą rocznicę urodzin. Fot. ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego w Lublinie (Edward Chrzanowski - członek Dyrekcji Głównej Tow. Kredytowego Ziemskiego z gub. lubelskiej. „Tygodnik Ilustrowany” 1890 nr 52 s. 420).